

Piotr Guzy

Odwiedziny u duchów i inne opowiadania



Opole 2015

Z Zawadzkiego pod Walencję – życiorys niezwykły

Niedaleko hiszpańskiej Walencji żyje znakomity, choć w Polsce wciąż nie dość znany pisarz, Piotr Guzy.

Urodził się 15 maja 1922 roku w Zawadzkiem w powiecie opolskim jako syn powstańca śląskiego Juliusza. Na skutek podziału Górnego Śląska jego rodzina schroniła się w przypadających Polsce Tarnowskich Górach. Po szkole powszechnej zapisał się do gimnazjum i liceum im. Księcia Jana Opolskiego (dziś im. Stanisława Staszica).

Wojna wybuchła na rok przed maturą Guzego, tak że młody alumn z formacją przysposobienia wojskowego pomaszzerował na wschód, by w Rumunii skończyć w internowaniu. Stamtąd zbiegł do Francji do wojska polskiego, następnie do Wielkiej Brytanii. W szeregach dywizji pancernej generała Maczka walczył we Francji, Belgii i Holandii. Był ciężko ranny.

Na uniwersytecie londyńskim rozpoczął studia ekonomiczne. Nie skończywszy ich, wrócił z angielską żoną i synem do Polski w 1949 roku. Magisterium z ekonomii uzyskał w Poznaniu i przez pewien czas pracował w „Tygodniku Zachodnim”.

Nękany i inwigilowany przez bezpiekę, przez Berlin Wschodni uciekł z powrotem do Anglii w 1957 roku. Zaczął pracować w BBC, a potem w Radiu Wolna Europa w Monachium.

Kiedy w 1966 roku opublikował *Krótki żywot bohatera pozytywnego* w paryskiej „Kulturze”, powitał go entuzjastycznie Gustaw Herling Grudziński słowami: „Jest to jedna z najwybitniejszych książek polskich, jakie się ukazały ostatnio w kraju i na emigracji. Witam w panu nowego pisarza o wielkim talencie”. A Waław Grubiński wtórował w Londynie: „Niepospolity talent literacki Piotra Guzego widzę w tym, że umiał w słowach prostych, prostackich, umyślnie ordynarnych [...] wszczepić żywy puls szczerzego człowieka, jego strach, jego bunt i jego rozpacz”.

Po przejściu na emeryturę Guzy osiadł w Hiszpanii pod Walencją. Odwiedził Śląsk, a Tarnowskie Góry nadały mu honorowe obywatelstwo. Pisarz tak to skwitował: „Tarnowskie Góry uczyniły mnie tym, kim teraz jestem, były zaczynem tego, czym później zostałem, w najbardziej istotny sposób dały mi miejsce startu do mojej przyszłej pisarskiej drogi”.

Zaczął życie literackie w fatalnym okresie. Ostre dyrektywy partii podporządkowały sobie większość pisarzy polskich. Guzy myślał, że pisząc popularne dreszczowce, uniknie kontroli władz. Napisał książkę o tzw. sprawie Bergu. Przyjęło ją do druku Ministerstwo Obrony Narodowej. Zanim się ukazała, do Poznania przyjechał Kazimierz Koźniewski i w hotelu „Bazar” w obecności autora sprawdzał strona po stronie cały tekst, by był politycznie poprawny. Kiedy Guzy protestował, usłyszał reprimendę: „Proszę pana, my Hamletów nie potrzebujemy, albo się jest z nami, albo przeciwko nam”.

Od literatów owego okresu wyróżnia Guzego fakt przyznania się do poczucia wstydu: „To była wredna książka. Pod sensacyjną fabułą kryła się trucizna, która w umysłach czytelnika utwierdzała poczucie bezradności, nieodwracalności systemu, szkodliwa książka, która w podstępny sposób mówiła, że inaczej już nie będzie, nie może być i z tym się należy pogodzić”.

Jego twórczość poza Polską była próbą oczyszczenia. W *Zwidach na wysokościach* wyśmiał kult Stalina wśród pisarzy, którzy „przed siedzącym tam na wysokościach największym zbrodniarzem wszystkich czasów” wyciągają błagalnie swoje manuskrypty.

Macki polskiej bezpieki sięgały aż do Anglii i w *Requiem dla pani Tosi* tragiczne okoliczności każą zaszczutej kobiecie popełnić samobójstwo.

Mimo że uczęszczałem do tego samego gimnazjum co Guzy, trzy lata różnicy wieku sprawiły, że się nie znaliśmy. Trzeba tu dodać, że w 1937 roku byliśmy na tej samej wycieczce do Wilna i Pińska! Na wspólnym zdjęciu stoimy pod Ostrą Bramą w Wilnie... Pamiętamy te same wydarzenia i miejsca, na przykład jezioro Horodyszczce koło Pińska. Spotkaliśmy się dopiero w 2005 roku w Toronto, dwaj opolanie gnani po świecie. Dzięki poczcie,

a szczególnie internetowi, poznaliśmy się bliżej i mogliśmy zainteresować się swoją twórczością literacką.

Odczuwałem wielką satysfakcję, kiedy Guzy wybrał się do Polski i w Tarnowskich Górach, w 1999 roku, miał swój wieczór autorski w historycznej sali nad restauracją Sedlaczka. Impreza była bardzo udana, publiczność dopisała, pojawiła się telewizja z Katowic, powstały reportaże relacjonujące tę uroczystość.

Gratulowałem Guzemu sukcesu i zachęcałem do ściślejszych kontaktów z czytelnikami, ale on, z właściwą sobie skromnością, zastrzegał się zbyt małym dorobkiem pisarskim, składającym się z czterech powieści i kilku opowiadań. Ponieważ *Krótki życiorys bohatera pozytywnego* i *Stan wyjątkowy* ukazały się u Giedroycia w Paryżu i tylko pojedyncze egzemplarze dotarły do Polski, a *Requiem dla pani Tosi* – w Londynie, jedynie *Zwidy* wyszły w Polsce w 1994 roku w niskim nakładzie, rzeczywiście więc w Polsce Guzy pozostaje autorem nieznanym.

Zamiast dążyć do publikacji swej twórczości, Guzy tłumaczył, że żaden wydawca się nie znajdzie, bo nikogo już sprawy tam poruszane nie interesują, jako że mówią o doświadczeniach innych ludzi, którzy przeszli gehennę i też nie chcą już o niej czytać.

Ale można na tę sytuację spojrzeć inaczej. Minęło już dużo lat od powrotu literatury emigracji niepodległościowej do ojczyzny. Najwięksi doczekali się triumfalnego powrotu, ale o wielu innych wygodnie zapomniano. Czyżby poloniści i krytycy nie mieli obowiązku badania całej literackiej podaży i jej rzetelnej oceny? Na jednych jest więc przyzwolenie, wręcz aplauz, innych się ignoruje czy wręcz przemilcza. Na bezstronnego krytyka nie mogą liczyć. Jak to się dzieje, że nie pojawia się wcale nazwisko Piotra Guzego, że w bibliotekach nie ma jego książek, nikt nie wydaje jego prozy? Sądzę, że region tak bogaty jak Śląsk, do którego ciągną ludzie z całej Polski, powinien móc ufundować swoim pisarzom wydawnictwo Biblioteka Autorów Śląskich, by mogli się w nim ukazywać książki Guzego, a także Pawła Łyska z Istebnej i innych pisarzy, niemogących wrócić z obczyzny po tylu latach.

„Ja myślę, że trzeba będzie przeczekać jedno pokolenie, cała ta scheda po komunizmie musi zniknąć, musi umrzeć, do polityki muszą

wejść nowi ludzie, jeszcze nie znarowieni” – powiada Guzy. Biada nad losem języka polskiego, który się zmienia, by nadażyć za degrengoladą społeczeństwa. Dziwi się znieczuleniu sumienia, kiedy mówi się o wysokich rangą urzędnikach, którzy „wyprowadzają” pieniądze z przedsiębiorstw, więc kradną, robią „przekręty”. Nie ma nikogo, kto by nazwał zło złem, tzw. elity są na zastraszająco niskim poziomie moralnym. Nie bardzo widzi drogi wyjścia, bo państwo zostało tak zbudowane, że zostawiło miejsce na korupcję.

Nazywa siebie jednak „niechętnym optymistą”.

Florian Śmieja

Frieda

Powinna czuć się szczęśliwa. Jest lato 1940 roku, kilka tygodni po Dunkierce. Frieda Scranton pierwszy raz oddała się mężczyźnie. Kilka dni temu obchodziła swoje osiemnaste urodziny i to, sobie tylko znaną logiką, zdecydowało, że sobie powiedziała, iż dłużej tego odwlekać nie będzie, raz trzeba zacząć. Teraz obciąża na sobie spódniczkę, zapina bluzkę i kładzie się, splatając ręce pod głową. Nad sobą ma jasne niebo, białe chmury wędrujące w stronę morza. Dochodzący tu plusk fal oblizujących piasek płaskiej plaży miesza się z głośnym jeszcze i ciężkim oddechem mężczyzny, który jej odebrał dziewictwo. Powinna czuć się szczęśliwa, a wcale tak nie jest.

Frieda i Martin znają się od dzieciństwa. Ich domy niemal z sobą sąsiadują. Martin zawsze był przy niej. Gdy spotykały ją przykrości ze strony Sheeny, starszej siostry, która wykazywała zapędy dyktatorskie, zawsze ją brał w obronę. A potem, w miarę jak przybywało im lat, też byli nierozłączni, nawet gdy był na studiach w Oxfordzie, nie było miesiąca, żeby nie przyjechał do domu, a właściwie do niej. W obu rodzinach zrodziło się oczekiwanie, że gdy nadejdzie właściwa pora, tych dwoje młodych się pobierze.

Idą teraz przez nadbrzeżne błonie, trzymając się za ręce, trawa jak miękkie dywan ugina się pod ich stopami, w powietrzu bzykają owady. Gracze objuczeni torbami ze sprzętem też już schodzą z nieodległego pola golfowego. Martin powiada: – Jaka cisza, jaki spokój, nikt by nie powiedział, że jest wojna, gdzieś tam giną ludzie, płoną domy.

Nagle oboje przystają. Ciszę i spokój wiszące nad miastem rozrywa drapieżny ryk syren alarmu przeciwlotniczego. Z niektórych domów wychodzą ludzie, spozierając na niebo, gotowi, gdy niebezpieczeństwo okaże się realne, schronić się w andersonowskich schronach w przydomowych ogródkach. Samolot nadleciał znad

morza. Martin mocnym pchnięciem zwałił Friedę na ziemię, sam rzucił się na nią, rękami osłaniając jej głowę. Oboje usłyszeli, jak seria z karabinu maszynowego przeszorowała tuż obok, i gdy podnieśli głowy, zobaczyli prostą linię powyrywanych kępek murawy jakieś dwadzieścia centymetrów od ich ciał. Martin podniósł się na kolana. Frieda usiadła na podwiniętych pod siebie nogach, twarz miała bladą, włosy w wielkim nieładzie. Patrzą na siebie, jeszcze czując, jak krew im łomocze w skroniach, potem każde z nich wciąga głęboki haust powietrza i wypuszcza go długim i głośnym wydechem. Oboje mają wzrok skierowany w tę samą stronę, tam gdzie ich domy, gdzie samolot zrzucił bomby. Teraz, gdy się już wyplątali z siდეł tych kilku sekund wielkiego strachu, teraz ogarnia ich lęk o najbliższych, przyspieszają kroku, potem biegną.

Bomby spadły daleko od ich domów. Już wiadomo, że są zabici. Frieda, która była przygotowana na najgorsze, odetchnęła z ulgą. Po raz pierwszy jednak, od kiedy wybuchła wojna, Friedę Cranston, która o mały włos nie padła ofiarą nagłego kaprysu niemieckiego lotnika, przeszywa dotąd niedoświadczane poczucie kruchości życia. Frieda Cranston zdaje sobie sprawę, że coś się w jej życiu przełamało, już nigdy nic nie będzie takie samo, odmieniło się na zawsze.

A wojna trwa. Afisze przestrzegają przed nieroztropnym językiem, *careless talk costs life*, władze wzywają do przekopania trawników na grządki warzyw, a śmieci i inne odpady należy segregować, tubki po paście do zębów należy wkładać do osobnego pojemnika, zbędne garnki i patelnie idą na złom, należy oszczędzać wodę, do zbiornika z wodą przy toalecie należy włożyć butelkę napelnioną wodą, pociągami należy jeździć tylko w przypadku absolutnej konieczności.

Ludzie głośno przy otwartych oknach słuchają niemieckiego radia, gdzie „lord Haw Haw” odprawia swoje codzienne dziwactwa, tłumacząc narodowi brytyjskiemu bezcelowość dalszego oporu, szeroko o tym rozprawiają wieczorem w lokalnym pubie przy szklance cieniutkiego już piwa.

Martin za tydzień ma się zgłosić w wyznaczonej mu jednostce. Ten czas starają się wykorzystać do maksimum. Codziennie wieczor-

rem wychodzą na nadmorskie diuny, gdzie Martin ją bierze z pewną nieokazywaną dotąd gwałtownością. Frieda go rozumie, wkrótce wyjedzie, nie wiadomo, kiedy się znowu zobaczą, chce się z nią nakochać niejako na zapas, będzie żył nagromadzonymi wspomnieniami.

Żółta plaża, zielonkawe morze, daleko na wodzie trzy łódzie rybackie, niebo w białych pierzastych obłokach. Skręcają ku miejscu, gdzie w poprzerastanym suchą trawą dołku będą się za chwilę kochać. Frieda przemierza oczami przybrzeżne błonie, trochę dalej pole golfowe i w ciszy, jaka wokół panuje, spływa na nią niecierpliwość, uczucie, że ona nie powinna tu być.

Zaręczyli się jesienią 1938 roku. Był uroczysty bankiet w ogrodzie państwa Touslerów, tańczyli na trawie. Z dumą pokazywała piękny pierścionek z dużym turkusem. Po burzy wywołanej przez Anschluss Austrii i zajęcie przez Hitlera Sudetów wydawało się, że już nic nie stoi na przeszkodzie, żeby spokojnie patrzeć w przyszłość. Pamięta, jak po wysłuchaniu mowy Chamberlaina, gdy machinalnie obracała na palcu ten pierścionek, przyszło jej na myśl, że może należało jednak z tym zaczekać. Może dała się porwać uczuciu, którego treści nie w pełni rozumiała. Nie to, żeby Martina nie kochała, bo jasne, że go kochała, mówiła sobie przecież, że go kocha i że on ją też kocha. Od lat przecież wiedzieli, że są sobie przeznaczeni. Otóż to właśnie myśli, jak to się stało, w jaki sposób ugruntowało się u wszystkich, że tak to właśnie ma być, że będzie jego, że wywodząca się z dzieciństwa przyjaźń ją na to skazuje. – Ależ oczywiście – szepce mu do ucha, gdy później zdyszany, gorączkowo łapiący oddech, żąda od niej zapewnienia, że go kocha, ależ oczywiście, mówi mu, że go kocha, a jednocześnie po głowie tłucze się natrętna myśl, choć zaraz chciała-by ją stamtąd wyrzucić, że z tej pułapki musi uciec.

Pytasz i wyraźnie prosisz, żeby Ci opowiedzieć, czym, oprócz zajęć służbowych, wypełniam mój czas. Nie sądzę, żeby za tym pytaniem czaił się niepokój, że mogłabym go spożytkować na coś, co naraziłoby na szwank łączące nas więzy. Gdyby jednak taki niepokój Ciebie

naprawdę nurtował, to spieszę Cię zapewnić, że byłby on całkowicie nieuzasadniony. Nie ukrywam, i na pewno to rozumiesz, że taka rozłąka, zarówno jeśli chodzi o czas, jak również dzielącą nas odległość, wystawia nasze wzajemne do siebie przywiązanie na niejedną próbę. Muszę Cię uspokoić, że wszystkie pokusy, a nie przeczę, że takie istnieją, nie mają do mnie dostępu i to nie dlatego, że skutecznie się przed nimi bronię, lecz dlatego, iż pogwałcenie szacunku dla tego, co nas łączy, byłoby zbyt dotkliwą ujmą dla mnie samej.

Decyzja nastąpiła szybko. Dwa tygodnie po odejździe Martina Frieda wstąpiła jako ochotniczka do pomocniczej służby kobiet w lotnictwie, WAAF. Po krótkim kursie uzyskała stopień podporucznika. Skierowano ją do pracy do jednej z baz lotnictwa w Szkocji. Pisze na maszynie raporty, opracowuje zestawy statystyczne, sporządza zapotrzebowania na części zamienne, czasem, bo osiągnęła ponadprzeciętną szybkość, wzywa ją do siebie kapitan Clinton i dyktuje listy. Kapitan Clinton jest blisko z personelem w dowództwie bazy i jak utrzymują koleżanki, gdyby się odpowiednio wokoło niego zakręciła, mógłby ją pchnąć wyżej. Frieda się domyśla, co się za tą sugestią kryje, ale nie, nie skorzysta, dziękuje, niekiedy podkpiwa dobrodusznie z siebie, że dotrzymanie wierności Martinowi jest jakby dodatkową do służby wojskowej dobrowolną ofiarą, jaką składa na ołtarzu potrzeby wojennej kraju.

Praca w biurze, w przeciwieństwie do zajęć w operacyjnej kontroli lotów, do której myślała na początku, że ją skierują, ma tę zaletę, że jest mniej więcej regularna. Wieczory są przeważnie wolne. Mieszka w podłużnym baraku podzielonym na małe pokoiki, po dwie osoby w każdym, przeciętym przez środek wąskim korytarzem. Jej aktualną współlokatorką jest Elisabeth Farnstrop. Właśnie wróciła z łazienki i zatrzasnąwszy za sobą drzwi, powiada: – Jeśli się pospieszysz, to jeszcze będzie wolna.

– Ach, kompletny nonsens! – krzyknęła kilka dni po tym, jak się już trochę z sobą wygodnie zżyły. – Ja też jestem zaręczona. James jest teraz w Afryce Południowej. Byłoby szczytem idiotyzmu z wszystkiego, co nam daje życie, zrezygnować. James miał tylko jedno zastrzeżenie, nie chce – powiada – żeby po powrocie, albo jak przyjedzie na urlop, zastał mnie z cudzym bękartem przy piersi. No, jak ci się wydaje?

– Bardzo tolerancyjny człowiek.

– Masz rację, takich oświeconych ludzi jak on jest mało. Ja mojego Jamesa bardzo cenię. W sumie to było tak, że tydzień po tym, jak wyjechał, jak już go przestałam opłakiwać, zamówiłam sobie wizytę u ginekologa na Harley Street, żeby mnie zabezpieczył przed przypadkową ciążą. Odtąd mam spokój, prowadzę bogate i urozmaicone życie emocjonalne, a moja miłość do Jamesa pozostaje nie naruszona, ja po prostu lubię mężczyzn, dlaczego miałabym sobie tego odmawiać?

Elisabeth siedzi na łóżku i lakieruje sobie paznokcie. Zdradza, że lakier i inne kosmetyki przywozi jej pewien Amerykanin. Wyciąga obie dłonie przed siebie i zaczyna na nie dmuchać: – Czy mogę cię o coś zapytać?

– Pytaj.

– A ty z twoim Martinem już spałaś?

– Spać to nie, ale miłość z nim uprawiałam na wolnym powietrzu, z białymi chmurami na niebie, do wtóru odgłosu fal rozlewających się na płaskiej plaży. – Jednak mimo woli czuje, więcej, jest pewna, że na obu policzkach nagle wykwitły rumieńce głębokiego wstydu. – Gdybym miała suche paznokcie, tobym cię teraz serdecznie wyściskała. Więc już teraz wiesz, co to za ambrozja.

Teraz, stojąc w gumowym czepku na głowie, pod niezbyt gorącą i niezbyt obfitą wodą spływającą z rozety prysznicą, namydając się pachnącym i bajecznie się pieniącym mydełkiem pożyczonym od Elisabeth, które dzięki jej szczodremu szafowaniu swymi wdzięka-

mi przywędrowało tu z Ameryki i teraz pieści jej, w pewnym sensie wciąż jeszcze dziewicze, ciało, Frieda myśli: ambrozja!, z rodzajem cierpkiej drwiny pod własnym adresem, przecież ona tak na dobrą sprawę smaku tej ambrozji jeszcze nie pokosztowała. Tak pokątnie, niejako bokiem swojego sumienia, Frieda zazdrości swej współlokatorki jej poczucia bezgrzeszności nieprzyćmionej nalotem transgresji, tej łatwości, z jaką się pławi w odmętach swej nieskrępowanej cieleśności. To pożyczone od Elisabeth mydełko wyslizgnęło jej się z ręki i spadło na śliską podłogę, podnosi je, wkłada do neseseru i narzucając na siebie płaszcz kąpielowy, jest przyjemnie świadoma swego młodego, w pewnym sensie wciąż jeszcze niewinnego ciała.

Elisabeth uzupełnia swoje życiowe credo: – Jesteśmy niedojrzałe, to się tylko tak mówi, że wskutek wojny szybciej i głębiej dojrzewamy. To nieprawda. Wojna przyniosła nam niesłychaną swobodę, obyczaje, któreśmy dotąd szanowały, nakazy rodzicielskie, cały ten rygor, dzięki któremu, tak przynajmniej zawsze nam mówiono, z dzikusek stajemy się stopniowo osobami w miarę ucywilizowanymi, wszystko to nagle zniknęło, rodzice wyszli, dzieci zostały same, co za frajda dla nas! Tam gdzieś toczą się bitwy, ludzie umierają, ale to wszystko nie jest w stanie ugasić gorączki, jaka nas trawi. A jak to się wszystko skończy i przeżyjemy, to będziemy te lata wspominać jako swego rodzaju eldorado i może za nimi tęsknić.

Elisabeth wybiera się wieczorem na dansing w hotelu Bell. Może Frieda chciałaby też pójść? Zaprasza ją ze swoimi przyjaciółmi, wszyscy, oczywiście, to oficerowie. Dobrze by się zabawiła. – Ty lubisz czytać, w ogóle jesteś bardzo kulturalna, więc William, który przed wojną był inspicjentem w teatrze, byłby dla ciebie dobrym towarzystwem na wieczór. Na pewno bardzo szybko znaleźlibyście interesujące was wspólnie tematy. A w ogóle to on jest bardzo zabawny, przystojny, a przy tym też bardzo męski.

– Czy mówisz to z własnego doświadczenia?

– Inaczej bym ci go nie stręczyła.

Frieda podrywa twarz, wbija oczy w twarz współlokatorki, to słowo wydawało się dotknięciem gorącego żelaza. Obie kobiety mierzą się wzrokiem, wreszcie Elisabeth powiada: – No, czego ty tak? Coś się stało? Obudź się, dziewczyno! Nie chcesz się z facetem bzykać, to nie, załatwione, nikt cię do niczego nie zmusza.

Tu rozpoczyna się dla Friedy grząski grunt, grożą topieliska. Fakt, że dopuściła do tego, by ta rozmowa wzięła taki właśnie obrót, widzi jej się jako pierwszy krok ku uległości wobec kuszącej pokusy. Frieda siada na skraju łóżka i bije się z myślami. Też wieczorami, choć nie codziennie, wychodzi poza obóz, jedzie do miasta, przeważnie idzie do kina, zapisała się też do biblioteki miejskiej. Nie ma wątpliwości, że Elisabeth dobrze jej życzy, występując przed nią w roli życzliwej stręczycielki. Godząc się, po zwalczeniu ostatnich oporów, na ten wspólny wypad, tłumaczy sobie, że to jeszcze jej do niczego nie zobowiązuje, nie musi się stać nic takiego, czego by sama nie chciała.

William, narajony jej przez Elisabeth partner, jest rzeczywiście bardzo przystojny, męski, dobrze tańczy, ma wycucie rytmu, taniec z nim okazuje się przyjemnością. Świadomość intymnej bliskości ciała partnera, chwilami mocno do niej przyciśniętego, powoduje, że gdzieś tam w jej wnętrzu pałęta się rodzaj występnego podniecenia, co sprawia, że nawet nie zdając sobie z tego sprawy, przyciska się mocniej do niego, aby po chwili gwałtownie się od niego oderwać.

Zabawa trwa trochę ponad godzinę, potem wszyscy wychodzą. Na przysłoniętych od góry światłach Raymond wyprowadza jeepa z podwórza hotelu. Frieda i William siedzą z tyłu na skrzyni umoszczonej dla wygody jakimiś łachami, pod nogami kupa żelastwa, trochę z tym wszystkim niewygodnie, ale Frieda nie zwraca na to uwagi. Czuje, że nie powinna była pić tej drugiej whisky, której płaską butelkę Raymond trzymał pod mundurem, a do szklanek nalewał pod blatem stolika.

– Wygodnie ci? Nie za bardzo trzęsie?

– Wszystko jest okay, nie martw się o mnie. – Faktycznie jednak nie wszystko jest okay, ma poczucie, jakby wsiadła do niewłaściwego

pociągu, nie wie, jak się z niego wydostać, autobusy już o tej porze nie chodzą, a gdzie teraz znajdzie taksówkę?

Jadą małą uliczką, zabudowaną zwartym tarasowym ciągiem piętrowych domów z regularnymi prześwitami dla wytaczania z podwórek kontenerów ze śmieciami. Nad dachami domów, jak jakieś powietrzne wieloryby, kołyszają się, srebrzyście połyskując, przeciwlotnicze balony zaporowe. Ulica kończy się narożnym sklepikiem, emaliowana tablica obok wejścia reklamuje kostki bulionu OXO. Kilka minut później już są za miastem.

Frieda jakoś nie jest pewna, czy jadą właściwą drogą. W jasnym świetle księżycy, który wychynął spoza pierzastej chmury, widać pasące się na łące krowy. Frieda już wie, że to nie jest ta sama droga, którą normalnie jedzie się z miasta do obozu. Po raz pierwszy odezwał się w niej niepokój. Jeep zwalnia, powoli zatrzymuje się, już wjechali kilkanaście metrów w głąb zagajnika. Elisabeth wyskakuje z wozu: – Podnieś pupę, Frieda, siedzisz mi na kocu. – Czapkę rzuca na przednie siedzenie. – Piętnaście, góra dwadzieścia minut i będziemy z powrotem. Tu gdzieś znajdziecie drugi koc. Wesołej zabawy.

Szelest kroków oddalających się w trawiastym poszyciu zagajnika, chrupot deptanego chrustu i nagły, jak iskra strzelająca z ogniska, śmiech Elisabeth. Po dwóch, trzech minutach złowrogiej dla Friedy ciszy rozlegają się w miarę głośne, jednoznaczne odgłosy. Frieda, świadoma niebezpiecznej bliskości Williama, słucha tych odgłosów z otwartymi ustami, czuje się jakby skamieniała, tylko jedna myśl pulsuje jej w głowie: żeby tylko on jej nie dotknął.

– No i co, Frieda, co będzie z nami?

Frieda jest sparaliżowana ze strachu, nie reaguje nawet, gdy William rozpiną guziki jej marynarki, potem guziki koszuli i odsunawszy na bok biustonosz, pieści jej pierś. – No, co z tobą jest, Frieda?

Chciała mu powiedzieć, żeby przestał, ona sobie tego nie życzy, ale słowa uwięzły jej w gardle. William pieści jej pierś miękko, jakoś delikatnie i Frieda czuje, że jeśli natychmiast nie przestanie, to coś się wydarzy. Obu rękami odpycha jego głowę, następuje chwila gwałtownej szamotaniny, William staje się coraz bardziej agresyw-

ny, Frieda paznokciami prawej ręki przeciągnęła po jego policzku, aż syknął z bólu, ale zaraz wdarł się obiema rękami między jej nogi, na co Frieda z całej siły uderzyła go pięścią po głowie. To spowodowało, że na krótką chwilę musiał się cofnąć, z czego skorzystała, podnosząc się z siedzenia, wyskoczyła z wozu. Oparta o burtę samochodu patrzy, jak William wyciera dłonią poraniony policzek: – Podrapałaś mnie, *you bitch!*

– Masz szczęście, że nie wydrapałam ci oczu.

– Ale między nami zabawa jeszcze nie skończona.

– Tylko spróbuj! – Jeszcze nie wie, co robi, ale już czuje, że się go nie boi.

– To się jeszcze zobaczy! – William wkłada chusteczkę do kieszeni w spodniach, wyskakuje z samochodu i obchodzi go z przodu. Z daleka nadchodzi odgłos nadlatujących znad zatoki samolotów, William podchodzi ku niej: – Ja ci teraz pokażę! – Frieda cofa się o krok i z jakąś przemożną siłą, jaką poczuła w sobie, czółenkiem swego wojskowego, wcale znowu nie tak lekkiego buta kopie go w krocze. Nigdy potem nie zrozumie, skąd wiedziała, że właśnie tak trzeba było postąpić. W huku sunących nisko samolotów nie słyszy jego jęków, tylko widzi, jak łapie się za urażone miejsce i przewraca na ziemię. Frieda podrywa z podłogi wozu lewarek i podnosząc go na dźwigającego się z ziemi niedoszłego gwałciciela, powiada mocno, niemal przez zaciśnięte zęby: – Tylko zrób jeszcze jeden krok ku mnie, to dopiero zobaczysz!

Jest koniec września. Frieda jedzie do domu na dwutygodniowy urlop. Czy Martin też tam będzie? To jest kwestia, bo jak pisał w ostatnim liście, chodzą słuchy, że mają ich wysłać gdzieś na Bliższy Wschód, więc urlopy mogą być wstrzymane, ale to mogą być zwykłe plotki.

Kochany, tak mi tęskno za tobą, tak mi bez ciebie źle, teraz, gdy jesteśmy tak bardzo oddaleni od siebie, z tym większą siłą czuję, jak mi jesteś bliski, jesteś jedyną ważną sprawą w moim życiu, które tu-

taj jest tak szare, zwiędłe, tak przeraźliwie pospolite. Budzę się rano i moja myśl od razu kieruje się ku tobie, kładę się spać też z twoim obrazem pod zmęczonymi powiekami, niekiedy płacząc, a nawet kiedy nie płacząc, to jest mi tak, jakbym płakała.

Takich listów nie pisała do niego przed niefortunnym incydem w czasie powrotu z dansingu w hotelu Bell. Nie przyszło jej też na myśl, że Martin łatwo mógłby dostrzec różnicę, porównując ten list z wcześniejszymi, i zastanowić się, czy coś tu nie gra. Takie trzeźwe refleksje nie przychodziły jej jednak do głowy, pisała jakby w obłąkańczym, nawet wprost straceńczym natchnieniu, słowa same kładły się na papier, każde kolejne słowo wzmagало jej rozpaloną egzaltację, było jak narkotyk, który musiała zażywać w coraz większych dawkach. W rzeczywistości ani nie płakała, ani też tak bardzo nie tęskniła, a to, co rozniecała w sobie jako miłość, było próbą usunięcia zatruwającego poczucia winy, bo ten incydent nie był przecież tak zupełnie niewinny.

Nasze wieczorne spacery nad morze, szum suchych traw mieszający się z naszymi oddechami, miarowy odgłos przyboju fal na plaży, tak wyraźnie to wszystko pamiętam...

I jeśli jej naprawdę zbierało się na płacz, to nad samą sobą, że nie wiedzieć jak dała się zapędzić w ten zaułek bez wyjścia. Teoretycznie mogła narzeczeństwo zerwać, ale wiedziała, że nigdy by się na to nie zdobyła, zawiodłaby oczekiwania wielu jej przyjaznych ludzi, nie potrafiłaby sobie tego nawet wyobrazić, więc co? Jest już nieodwołalnie skazana?

Spotykają się przy kiosku z gazetami na dworcu kolejowym w Edynburgu, w tej olbrzymiej hali ze szklanym, łukowato sklepionym dachem. Łoskot przeciągających na odległych torach pociągów gubi się wchłonięty i rozrzedzony w zgieltku niemal wyłącznie wojskowego tłumu. Sine powietrze pulsuje nasycone zapachem mundurów, dymu papierosowego, spalin. W tym morzu głów, poprzątkowanym tu i ówdzie białymi hełmami żandarmerii wojskowej, spotykają się przy kiosku, spoglądając na siebie z zaskoczeniem.

W chwilę po wręczeniu sprzedawczyni sześciu pensów, gdy wsuwa do kieszeni munduru penguinowe wydanie powieści Agaty Christie *Morderstwo na plebanii*, zderzają się z sobą i patrzą na siebie jakby z niedowierzaniem. Mężczyzna stoi kilka kroków od niej ze znieruchomiałą twarzą, szeroko rozwartymi i wpatrzonymi w nią oczami, usta ma nieco rozchylone i jakby zatrzymane w pół słowa. I wtedy coś się w niej dzieje.

Frieda wie, że coś się stało, ale nie wie, co. Jakby zmuszona jego spojrzeniem, nie może oderwać od niego oczu, coś się w niej przebudziło, coś niczym igła nagle ją zakłuło, rozprawdzając po całym ciele, fala po fali, regularne drżenie, ogarnął ją także rodzaj dziwnego zdumienia, jeszcze nie rozumie natury tych odczuć, wie jedynie, że to jest coś, czego dotąd nigdy nie doświadczyła. Przy kiosku panuje duży ruch. Frieda pochyla się, żeby złapać za uchwyt worka i przejść w bardziej przestronne miejsce, gdy ktoś ją popycha. Niemal traci równowagę. Gdy ją odzyskuje i na nowo kieruje wzrok w tamtą stronę, nieznajomego w oficerskim niebieskim trenczu już nie ma. Jakoś, i będzie się temu później dziwić, nie odczuła tego jako swego rodzaju straty, jakby wiedziała, że coś, co się rozpoczęło od łączącego ich spojrzenia, ma dalszy ciąg, którego jeszcze nie zna. Toteż wcale jej nie zdziwiło, gdy pół godziny później, przepchnąwszy się wreszcie do drzwi wagonu, on, mężczyzna w lotniczym oficerskim mundurze z naszywką POLAND na rękawie, chwycił ją za uniesioną rękę i wciągnął do środka. Szła za nim korytarzem do przedziału w jakimś chwiejnym zamroczeniu, w rozbuchanym, ale dziwnie radosnym niepokoju. Ten stan zauroczenia trwał nawet wówczas, gdy po kilku godzinach jazdy wysiedli w Yorku, także później, gdy taksówką jechali przez zatopione w wojennych ciemnościach miasto do pensjonatu.

W pensjonacie, prowadzonym przez starsze francuskie małżeństwo, Frieda spędziła z Karolem dwa dni i dwie noce, w łóżku, tylko na śniadanie i obiad schodzili na dół. W środę przyszedł telegram wzywający go do powrotu do bazy. Nie chciał, żeby go odprowadziła na dworzec. Obiecali, że będą do siebie pisać. Tylko ona napisała do niego na kryptonimowy wojskowy adres. Tydzień później otrzymała

list podpisany przez jednego z jego kolegów z eskadry z wiadomością, że Karol Piontek zginął nad Kanałem w drodze powrotnej z masowych nalotów bombowych nad Niemcami. W swoim liście prosiła go, żeby jej podał jak najwięcej szczegółów dotyczących jego życia, jakby już miała przeczucie, że nosi w sobie jego dziecko i że taka wiedza może jej się kiedyś przydać.

Spis treści

Florian Śmieja, Z Zawadzkiego pod Walencję – życiorys niezwykły.	5
Wielkie nieszczęście.	9
Mała Nusia z misiem.	54
Frieda.	67
Owiedziny u duchów.	79
Będziesz miłował kata swego.	92
Wstyd.	117
Biedna Lilo.	121
Że ona jest, że w ogóle jest.	151
Ostatnia posługa.	169
Boska Christa.	179
Nota wydawnicza.	207